

Po-ranne noce

(Dokończenie ze strony 3)

Jesteśmy młodzi, zauroczeni, wydaje się nam, że przeniesiemy góry, a co dopiero wiotką oblubienicę przez próg. Ale po miodowym miesiącu, czy tygodniu, zaczynają się dożywotnie schody: oblubienica lub oblubieniec nie są aniołami i wyciągają z ukrycia swój prawdziwy charakter. Arsenał konwencjonalnych min. Teraz już mogą, bo kłamka zapadła.

Dla rozrywki lub z nudów, zaczyna bijać wybrankę, bo twierdzi, że mięso duszone lepiej mu smakuje. Początkowo jest wstrzemięźliwy: robi jej pucówkę tylko w weekendy i nigdy przy gościach.

Potem gania ją co dwa dni, a jeszcze później – codziennie...

Byłe pretekst jest katalizatorem. A że nudzi się coraz częściej, awantury stają się tradycją. Co jej zarzuca? Różne takie. Na przykład, że kiedy ją widzi, to chce mu się wyć. Żałosna cielęcina dwoi się i troi, by jej Pan i Władca przestał ją lać, więc, by w domu było jako tako, idzie do roboty, a stary na piwo.

Pracuje na dwa etaty. Robota pali jej się w rękach. Ubzduriała też sobie, że kiedy na świecie pojawi się dzidzius, mąż się ustakuje.

Jednak dziecko było dla niego dodatkową gębą przy stole, konkurentem do michy, niesfornym bachorem pętającym się pod nogami. Malec, który widzi, jak tatulina kocha mamulinę, uczy się, że ciskanie mamą o ścianę jest objawem miłości. Z nauki tej wyciąga wnioski, że jak dorośnie, będzie taki sam.

A moje wnioski? Mam dwa. Pierwszy polega na informacjach.

Jakie informacje takie decyzje. Nie na darmo istniał w archaicznych czasach obyczaj długiego narzeczeństwa. Ludzie mieli możliwość obserwacji przyszłych dożgonnych. Kiedyś również mawiało się, że aby poznać drugiego człowieka, trzeba zeżreć z nim beczkę soli. A drugi jest ten, że podejmując jakiegokolwiek zobowiązanie, muszą liczyć się z jego konsekwencjami. Ponieważ moje decyzje wpływają nie tylko na mnie.

Przykład, to opisana tu niewolnica. Złożyła przysięgę i z tej przyczyny cierpi jej syn. Na razie tylko się moczy ze strachu przed mendą, na razie ma początki cukrzycy wywołanej stresem, ale nie będzie trzeba długo czekać na efekty ślubowania; myślę, że do małżeńskiej przysięgi należałoby dodać słowa: i nie opuszczę Cię, dopóki mnie nie zatłuczesz.

Słomiany zapach

Od czasu do czasu, jak uporczywa czkawka, przesładują nas wyrzuty sumienia. Chcemy się zmienić, naprawić, coś nas męczycy

i nie pozwala patrzeć na siebie, jak na ludzi wolnych od nałogu.

Za dużo palimy, kaszlemy coraz częściej, dusi nas, z trudem łapiemy powietrze, a na dodatek ciągle słyszymy, że ten przestał, tamtemu się udało, więc kombinujemy, że chyba i nam nie zaszkodzi spróbować, bo a nuż. Pijemy też. Pociągamy nieźle, bo jak bez jednego na zapęd, tak całkiem na trzeźwo przetrwać z tym światem, argumentujemy. W pracy jest nam również nie tak, jakbyśmy pragnęli. Szefostwo wymaga, byśmy byli aktywni, kreatywni, dyspozycyjni, co nie zawsze jest możliwe. Mamy więc zgałę i poczucie winy.

Ale jest sposobność, by pozbyć się moralnego kaca. Sposobność ta ma tytuł: obietnice. Przy lampce szampana, rozbawieni, roztańczeni, uniesieni powszechną euforią, składamy solenne śluby: od jutra won z przyzwarami, od jutra będziemy zaci do ostatniej kropli krwi. Będziemy dbać o zdrowie, Kierownik Dyrektor odzyska do nas zaufanie, da nam premię, podwyżkę i awans.

Lecz upojna euforia kończy się bladym świtem i, jak w piosence: wszystko przemija nam. Tu dopada mnie refleksja: wszak obietnice składamy częściej.

A to żonie, że przestaniemy ją bijać regularnie co tydzień i ograniczymy się do jednego razu na miesiąc, a to narzeczonej, że nie spojrzymy na żadną inną w każdy wtorek.

Przykładów mamy po uszy. Dzień Kobiet, Dzień Hutnika, Górnika, Człowieka Bez Kasy, Dzień emeryta, Człowieka Na Medal, Dzień Człowieka Bez Medalu, Walentynki, Święto Konia. Dni obietnic frygają po kalendarzu i coraz nam ciasniej w krainie przesadnych deklaracji i coraz nam bardziej żal tych naszych wygłupów z dotrzymywaniem słowa.

Teatr

Za podgniętych czasów, rodzice zabierali mnie do teatru. Miałem wtedy siedem lat, a przedstawienia należały do marudzeń dla dorosłych. W tym wieku nie lubi się zabaw wymagających bezruchu, skupienia, zwłaszcza zaś tego, że, pod groźbą maminiego szczypta, nie wolno było oddychać bez rozkazu, wiercić się oraz szeleścić sreberkami. Jednak już wtedy należałem do niedojrzałych zgredów i lubiłem te sadyzmy. Magia teatru, szelest sukien, aktorki, aktorzy, wszystko to działało mi na wyobraźnię, skłaniało, jak nałóg, do powrotu. I, dopóki mogłem, wracałem, bo takie są moje obyczaje.

Rodzice, a szczególnie Tata, chodzili do teatru często. Częściej, niż nasz sąsiad na jednego. Dodatkowo był z ojca kinoman. Na filmach się znał i mógł o nich rozwdzić się godzinami, bo to była jego pasja. A że pracę miał terenową i całymi tygodniami przebywał poza domem, zaliczonych przez niego spektakli i filmów nie sposób zliczyć. Z każdej

podróży przywoził po dwa – trzy programy. Dzięki nim znałem obsadę, treść sztuki, nazwisko reżysera, najlepsze recenzje, a z opowiadań Taty dowiadywałem się, czy uczestniczył w WYDARZENIU, czy odwrotnie: w zbiorowej stracie czasu.

Teraz wędruję po tych oprawionych programach z Polski i odkurzam pamięć minionego świata. Zebrane w jedną książkę, mają sens inny dla mnie i inny miały dla mojego ojca. Dla niego stanowiły zapis konkretnej rzeczywistości, znanych dat i miejsc, dla mnie natomiast są potwierdzeniem istnienia miejsc, których już nie ma. Tak jak nie ma już rodzinnych wyjść do teatru, kina, opery, na koncert. I to nie dlatego, że ludziom się nie chce. Chciałoby im się chcieć, co do tego nie mam żadnych wątpliwości, lecz mam wątpliwości, czy mieliby za co.

„Ino im się nie chce chcieć”

Pewnik: nie cała współczesna pisanina jest beznadziejna. Są powieści, wiersze, opowiadania zadające kłam uproszczonym wyrokom, tyle że mało ich: giną przysypane gniotami. Mówię o internetowej twórczości, czyli o dobrodziejstwie dla piszącego do tak zwanej szuflady.

Zanim zaczął w nim gryzmolić, pies z kulawą nogą nie znał jego wypocin. No, może poza nieobiektywną rodziną skłoną do zdawkowego cmokania. Teraz wchodzi na portal i wkleja byle co. Niekiedy rzecz wartą mszy, a czasem – barachło.

Upakany nadzieją roi sobie, że ktoś go przeczyta i na skrzydłach entuzjazmu polecą z donosem do Dziadka Nobla, że oto narodził się talent i trzeba go natychmiast dopieścić.

Oczywiście, pisanie w Internecie ma sens nie tylko dla niego, gdyż po pierwsze dowiadyuje się, co tygrysy lubią najbardziej, a po drugie, że nie jest takim literackim cudem, jak mu się wydawało. Co go z punktu stawia w pozycji ucznia, a nie mistrza. Bo od razu spotyka się z reakcjami potencjalnych czytelników zięjących komentarzami różnej maści.

A te mogą go zachęcić do pisania lub stłamsić. Gdy trafi na w miarę obiektywny i na dodatek nie jest zarozumiały, może skorzystać z zawartych w nim uwag i poprawić błędy. Ale gdy natknie się na opinię jadawitego durnia, który mu napisze, że tekst jest fatalny i przy okazji nie powie, dlaczego, może się tylko zadławić wirtualnym oburzeniem, albowiem dalej nie wie, jak i co ma zmienić na lepsze.

Lecz załóżmy, że trafi na mądrego, który doradzi, wesprze i doda otuchy. Ostatecznie cuda się zdarzają i nie da rady twierdzić, że wszyscy są źli, złośliwi i nieuczynni. Przeciwnie.

cdn.

Marek Jastrząb